Cena 20.000 mk. № 9

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II-ie p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godziny 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

WARSZAWA, DNIA 10 LISTOPADA 1923 ROKU.

Krew darmo.

„Nie skutkiem walk wewnętrznych, ale skutkiem ich charakteru w życiu naszem od lat pięciu dominuje ponad wszystkiem niepewność.

. . . .

Na pierwszy plan naszego życia wysuwa się niebezpieczeństwo owej niepewności, która jak mgła przesyca powietrze oddychalne Polski".

Artur Śliwiński.

W przededniu tragicznych wypadków w Krakowie, Borysławiu, Warszawie i innych miastach, znakomity historyk i polityk Artur Śliwiński, wiedziony intuicją, zamieścił w *Kurjerze Porannym* z dnia 4 b. m. artykuł, głęboko ujmujący genezę walk wewnętrznych w Polsce oraz przestrzegający przed walkami nierozstrzygniętemi, wytwarzającemi atmosferę niepewności, paraliżującą prawidłowe pulsowanie życia państwowego. „W Rzeczypospolitej Polskiej, zaczynającej się chylić do upadku, walki wewnętrzne nie znały konsekwentnej ciągłości. Natura szlachecka nie zdolna była do dłuższegu skoncentrowanego wysiłku, ale żyła raczej wybuchami nagromadzonej energji. Po każdym wybuchu następował okres apatji i zniechęcenia, a potem nowy wybuch. Siły wyczerpywały się przed czasem i w decydującej chwili zapał bojowy opuszczał zazwyczaj walczących. To też już od początków XVII-go stulecia walki wewnętrzne, wstrząsające Polską, nie prowadziły do celu. Były to walki nieobliczalne. Miały początek, nie miały epilogu, nie

znały zwycięzców ani zwyciężonych. Walczące ze sobą obozy charakteryzowała nie siła, ale bezsilność, każdy z nich posiadał dość wpływu, aby sparaliżować zamiary swego przeciwnika, żaden nie miał siły tyle, by odnieść tryumf zupełny. Nawet wtedy, gdy obie strony porywały się do oręża i przelewały krew bratnią, walka nie dawała rezultatu".

Jakby dla potwierdzenia tej smutnej djagnozy historyka w dwa dni po jej opublikowaniu jesteśmy świadkami walki dwuch obozów politycznych, walki krwawej i jakgdyby przez krew w zarodku stłumionej, walki bezowocnej, nie rozstrzygniętej, zmarnowanej, bo lekkomyślnie wszczętej i prowadzonej. Nie zmieniło się od wieku XVII w psychice narodowej nic zgoła. Miejsca nieudolnych i kapryśnych przywódców walk szlacheckich zajęli z powodzeniem wybitni przedstawiciele klasy robotniczej: Barlicki, Daszyński, Moraczewski, Niedziałkowski i Żuławski, obok chłopa Witosa i mieszczuchów Dmowskiego, Zamorskiego i Dubanowicza. Zmiana w układzie sił społecznych nie dokonała renesansu psychiki narodowej, następcy szlachty XVII i XVIII stuleci przejęli z całą skwapliwością jej wady, powtarzamy przedrozbiorowy okres dziejów Polski. Jakaż jest w rzeczy samej istota ostatniej walki?

Odrzućmy demagogiczne frazesy i obrzydliwy potok prowokacji prasy prawicowej, zapomnijmy o komunikatach oficjalnych i półoficjalnych,—sięgnimy do jądra prawdy. Znajdujemy wówczas następujący obraz: pod naciskiem niesłychanie gwałtownego skoku drożyzny w miesiącu ubiegłym, ogół pracujący: robotnicy i inteligencja wyrobnicza wystąpiła z minimalnemi żądaniami przystosowania systemu obliczania i wypłaty zarobków do istotnego wzrostu kosztów utrzymania. Podczas gdy przedsiębiorstwa prywatne uznały stosunkowo szybko słuszność tych żądań, państwo w osobie obecnie w nim gospodarzącego rządu zastosowało względem swoich pracowników bojkot. Był to jedyny w swoim rodzaju bojkot pustych żołądków, który musiał doprowadzić do ostrzejszych przejawów walki, a więc strajku. Strajkowali najbardziej upośledzeni kolejarze i częściowo pocztowcy. Ponieważ układy strajkujących z rządem i Sejmem otwierały perpektywy polubownego załatwienia sporu, przeto strajk zbliżał się powoli ku likwidacji i można twierdzić, że w przeciągu dwuch do trzech dni byłby całkowicie wygasł.

Co tedy czyni rząd?

W usprawnionym przez kooptację Korfantego i Dmowskiego komplecie, rząd ogłasza: militaryzację kolei i zawiesza Konstytucję przez wprowadzenie stanu wyjątkowego z rygorem sądów doraźnych.

Czy zdawano sobie sprawę z doniosłości politycznej wprowadzenia w grę najsilniejszych i ostatnich atutów danych

w ręce władzy wykonawczej dla ratowania powagi i bezpieczeństwa państwa w chwilach najwyższego niebezpieczeństwa? Czy istotnie państwu zagrażało niebezpieczeństwo ze strony strajkujących, którzy nigdzie nie dopuścili się nawet próby niszczenia swego warsztatu pracy? Dlaczego to niebezpieczeństwo wytrąciło rząd z równowagi dopiero w ostatnich, a nie pierwszego dnia strajku? Wreszcie jeśli zagrażało istotnie, dlaczego stan wyjątkowy ogłoszono tylko w Krakowie, jakgdyby dla sprawdzenia wywołanego efektu, wypróbowania sytuacji, sprawdzenia swych sił i możliwości tkwiących w psychice mas?

Jeśli uwzględnimy prowokacyjny ton prasy rządowej towarzyszący tej próbie przezwyciężenia fermentu głodnego społeczeństwa siłą fizyczną, jej nawoływania do „silnej ręki", straszenia miljonami brudnych koszul faszystowskich, mamy wszelkie objektywne dane do twierdzenia, że zastosowany przez rząd eksperyment stanu wyjątkowego nie był podyktowany koniecznością obrony powagi i bezpieczeństwa państwa, a jedynie przejawem dążeń sprawujących rządy partji do rozszerzenia uprawnień władzy wykonawczej, dla zmiażdżenia, przy pomocy wojska i policji, swoich antagonistów politycznych, jak to ciągle powtarzano, na długie... długie czasy.

Potwierdzeniem naszej tezy jest jeszcze i ten niezbity fakt, że wszędzie, gdzie doszło do przelewu bratniej krwi, walkę rozpoczynała policja lub wojsko. Pochody strajkujących, udających się spokojnie i w karnych szeregach do miejscowych przedstawicieli władzy dla zakomunikowania im swych postulatów, otaczano i usiłowano rozpędzić wezwaniami i strzałami policji lub wojska. Taki był początek wszystkich starć. I dopiero, gdy przykład krakowski dowiódł, że nie wolno bezkarnie wywoływać tragedji w duszy żołnierza rozkazem strzelania do bezbronnych i niewinnych swej nędzy rodaków, bo może się załamać i wzburzyć — rząd pośpiesznie drżącą ręką cofnął eksperyment stanu wyjątkowego. I właśnie cofnął go wtedy, gdy objektywnie rzeczy biorąc, miał prawo i obowiązek zastosować specjalne środki dla przywrócenia normalnego położenia, bowiem Kraków „oczyszczony" z wojska i policji znajdował się w rękach robotników. Ale wówczas już w sercach rządu zapanował blady strach, strach przedewszystkiem przed utratą swego politycznego stanu posiadania w państwie i społeczeństwie.

Reasumujemy: rząd nie miał podstaw do rozdrażniania mas robotniczych groźbą militaryzacji i sądów doraźnych. Nie miał prawa używać wojska do inscenizowania i toczenia bratobójczych walk, nie miał prawa niszczenia naszej siły zbrojnej przeznaczonej do innych: ideowych i szlachetnych zadań.

A teraz strona przeciwna. Polska Partja Socjalistyczna, jako najsilniejsza partja robotnicza rozporządza kapitalną bronią wobec każdego rządu — strajkiem powszechnym. Jest to

jej najsilniejszy i niewątpliwie skuteczny oręż. Można nim obalić wszystkich ministrów, można dokonać bezkrwawego przewrotu politycznego, ale można i zburzyć maszynę państwową. Kto się decyduje na proklamowanie strajku powszechnego—gra *va banque*. Musi mieć przeto jasno wytknięte cele do których zmierza i gotowy aparat do ich zdyskontowania. Cele zaś muszą odpowiadać sile wprowadzonej w grę broni. Nikt nie zabija muchy z armaty, ani nie zaprząga słonia do pociągnięcia dziecinnego wózka. Strajk powszechny jest środkiem wojny wewnętrznej, która, jak tego zresztą dowiodły ostatnie wypadki, może bardzo łatwo stać się krwawą. A każdy walczący żołnierz musi przed sobą widzieć wielkie cele, aby walczył i ginął z wiarą i entuzjazmem. Szacunek dla życia ludzkiego nigdy nie może być zbyt wielki i dlatego nie wolno nim igrać dla kaprysu, dla efektu, dla próby sił, dla postraszenia przeciwnika, dla patosu i dla demagogji.

We własnym państwie w jednym tylko wypadku wolno ważyć się na wywoływanie strajku powszechnego, a mianowicie, dla dokonania szybkiej zmiany ducha rządów, to znaczy zmiany ludzi władzę sprawujących. Trzeba sobie wyraźnie uświadomić, że czasy niewoli, kiedy strajk mógł mieć cele do jej warunków przystosowane, gdy nie można było marzyć o rządzeniu w Petersburgu — minął.

Tak doświadczeni kierownicy walk strajkowych, jak obecni przywódcy P. P. Socjalistycznej musieli i mieli obowiązek zdawać sobie sprawę — dokąd ta walka prowadzi, mieli obowiązek wytknąć jej właściwe cele i nie lękać się, gdy poczęły się zbyt szybko urzeczywistniać. Z sytuacji w Krakowie powinny być wyciągnięte wszystkie jej logiczne konsekwencje. Masy robotnicze stolicy, Zagłębia Dąbrowskiego, Łodzi i innych centrów pracy winne były, jak chciały, stanąć z godnością i bez wybryków po stronie walczących towarzyszy krakowskich, strajk winien być o 24 godziny przetrzymany, a obezwładniony i sparaliżowany rząd byłby ustąpił. Trzeba było do wykonania tego planu jednego warunku: odważnego przywódcy, któryby go posiadał.

Odrzućmy straszaki rewolucyjne. Laikom tylko rewolucja wydaje się eksperymentem niesłychanie prostym i łatwym. Robotnicy, którzy po krwawych walkach opanowawszy Kraków nie zastosowali represji względem prowokujących przedstawicieli władzy, nie dopuścili do wybuchów terroru lub anarchji, są o wiele dalsi od rewolucji, niż sobie wyobrażają różni tchórzliwi publicyści i przysięgli politycy.

Zmiana rządu, byłaby momentalnie doprowadziła do całkowitego uspokojenia umysłów i zrównoważenia naprężonych nerwów społeczeństwa, żyjącego stale, wczoraj jak i dzisiaj, przed i po walce, w stanie wiecznej niepewności i trwogi.

Tymczasem przywódcy P. P. S. odwołali strajk na dwie-

minuty przed ostatecznym zwycięstwem, pozostawiając na placu walki zabitych, rannych, rzucając w masy robotnicze ziarno zawodu i goryczy, którego plony będzie niewątpliwie zbierał ktoś inny, będą zbierali komuniści, zaliczający prowokowanie nieroztrzygniętych walk do zasadniczych metod stwarzania przyjaznego gruntu dla swej pracy.

I tak — walka została zlikwidowana.

Strony podzieliły się trupami poległych — każda zabrała „swoich“ i nad ich stratą boleje.

Przywódcy obu stron z zadowoleniem osobistym osiągnęli porozumienie, zapraszając się, dla pozoru, do ustąpienia.

Nic się nie zmieniło. Nic się przecież wielkiego nie stało. Lekka sprzeczka przywódców i trochę krwi szeregowców.

Krew polską można wylewać na darmo. Nagrodzi się ją uroczystym pogrzebem i celującą mową parlamentarną, nagrodzi ją bluff, patos i frazes niedołężnych leaderów.

W. Stpiczyński.

Oto człowiek.

Kim jest Korfanty?

To pytanie zadaje sobie niewątpliwie wielu ludzi w Polsce czytając komunikaty oficjalne o wejściu tego polityka w skład rządu. Kim jest ten człowiek głośny, rozreklamowany, a otoczony dziwną mgłą sprzeczności, zaciemiającą jego osobę. Wiedza o nim w szerokich masach społeczeństwa jest niezmiernie skąpa, każdy wie coś, ale mało kto wie tyle, ile trzeba dla skonstruowania pełnej jego sylwetki. Rzecz szczególna — nawet społeczeństwo górnośląskie nie potrafi przeważnie odpowiedzieć na pytanie: kim jest Korfanty?

Nie dzieje się tak bez przyczyny.

Jest to bowiem pod względem psychicznym konstrukcja pozbawiona cech stałości. Gdyby dla notowania rozwoju ludzkich myśli, przekonań i dążeń można było zastosować seismograf, obraz takiego wykresu u Korfantego dałby skłąbiony, bezładny splot linji szarpanych, stwarzających ogólne wrażenie jednej czarnej plamy. Psycholog musiałby zrezygnować z zamiarów odnalezienia w niej poszczególnych etapów rozwojowych i ustalenia ich przyczynowości.

W tych warunkach opinja publiczna musi bezkrytycznie przyjmować skierowane pod jego adresem ataki i panegiryki, reagując na nie pełną rezerwą. Dla charakterystyki stosunku społeczeństwa do osoby Korfantego ważnym wskaźnikiem jest fakt, że przejście w jego właściwie ręce prezydentury gabinetu nie wywołało najmniejszego rezonansu w masach, mimo forsownej propagandy i poprostu walki z opinją toczonej przez prasę rządową, szczególnie stołeczną.

Kim tedy jest Korfanty?

Profesor Brückner w VI-tym tomie *Prac Filologicznych* wyjaśnia, że wyraz „Korfanty“ na Sląsku i Czechach w w. XVI używany był jako przekleństwo. Jeden z księży wyrzucając swym parafianom z ambony nadużywanie przekleństw przytacza między innemi takie: „Porwoneś dyabłu... Zły dyabeł w tobie... Kaduk Boża kazń w tobie... i... Korfanty“. W jednym z czeskich tekstów spotykamy następujący zwrot: „Kornifel — liž voś sem přines“— „czy djabeł was tu przyniósł“. Z tych i wielu innych przykładów dowiadujemy się, że przekleństwo, „Korfanty“, jako nazwisko musiało być nadane człowiekowi-djabłu, to znaczy jednostce wybitnie odbiegającej od normalnego poziomu etycznego lub poprostu obdarzonej „zestrzeloną energją zbrodniczą“. Był to więc jakiś wyrafinowany zbrodniarz, zbójca, lub może poprostu kat oficjalny. Kimkolwiek był ów Korfanty XVI wieku — zmora dla współczesnych, którego imię wymawiano ze zgrozą, żegnając się przy tem i ozierając wokół azali nie czai się gdzie za węgłem chaty, jakkolwiek żył człowiek o imieniu z brzmienia samego grzesznym i przez kościół potępionym, to pewna, że odrodził się dzisiaj w swym niepospolitym potomku.

Jako młody chłopiec, robotnik i z robotniczej wywodząc się izby, Korfanty rozpoczyna karjerę życiową od zdrady. Zdradza swego wychowawcę, księdza Pośpiecha, zdradza pismo nad którem powierzono mu pieczę, zdradza hasła patrjotyczne pod które go zaciągnięto, związuje się z niemcami przez Napieralskiego — zbiera pierwsze brzęczące dorobki swej polityki. Nić zdrady haseł i sztandarów snuje się przez wszystkie etapy tej bajecznej karjerowiczowskiej kampanji życiowej. Zdradzał Napieralskiego — stawał się patrjotą, sięgał po godność duchowego wodza walki narodowej z rasą germańską. Zdradzał te hasła w czasie wojny i skłaniał się do współpracy z niemcami. W roku 18 potępiał co czynił wczoraj i dla popularności, dla karjery gromił znów niemców, pozował na wroga nieubłaganego, grzmiał i w radykaliźmie bojowym zdystansował wszystkich swoich rywali politycznych. A w roku 1922, syt zaszczytów, reklamy i polskich marek, za brzęczące złoto, jedyny w Polsce, rzucił się z odsłoniętą przyłbicą w objęcia hakatystycznych magnatów przemysłu niemieckiego, podejmując rolę rzecznika ich interesów wobec Polski i jej przyjaciółki Francji.

Zdradzał wszystkich po kolei sprzymierzeńców i przyjaciół politycznych. Już w niepodległej Polsce przerzucał się z endecji oczerniając jej czołowych ludzi i kołatał do drzwi N. P. R-niczej, odżegnywał się później od niej, myślał o własnym stronnictwie, obwąchiwał Piasta, szukał ścieżek do Belwederu, wreszcie zaczaił się w Ch-Demokracji, aby ją przy pierwszej okazji zdradzić i w miarę możności zdezawuować.

Jest to bowiem klasyczny typ ciemnego, nieokiełznanego warchoła.

Ambitny do absurdu, nioświecony, niekulturalny niema zrozumienia ani poszanowania dla prawa. Swe prymitywne poglądy na zagadnienia etyczne, polityczne i społeczne pragnie wcielać w życie natychmiast, bez dyskusji i siłą. Stąd powstało przeświadczenie, jakoby był to człowiek silny i odważny. Nic podobnego. Korfanty jest przedewszystkiem typowym alkoholikiem. Chwile uniesień i depresji, odwagi i lęku, siły i bezradności przychodzą nań i mijają niezależnie od jego woli. Wszakże nigdy nie zdarza się, aby był odważny wobec silnejszych. Wszystkie powstania na G. Śląsku wybuchały wbrew jego woli, jego wściekłym protestom i próbom przeciwdziałania. Własnych, polskich organizacji wojskowych bał się jak ognia, zwalczał je na każdym kroku i wszelkiemi środkami: podłemi i godziwemi. W okresie wybuchów powstań lub gwałtowniejszych starć uciekał chyłkiem ze Śląska, wracał dopiero gdy powodzenie oręża powstańczego było faktem dokonanym. Wówczas wobec kraju i świata przywłaszczał sobie godność i tytuł wodza zwycięsców. Uciekał jednak zaraz po ukończeniu każdej akcji, gdy groziły represje odwetowe ze strony bojówek niemieckich.

Lecz ten sam człowiek był zawsze bezlitosny i nieugięty jako wróg słabszych. Wówczas stać go na wszystko, nawet na zbrodnię. Nie kto inny jak on przecież zamordował bestjalsko ślązaka Kubkę, drobnego urzędniczka, obarczonego liczną rodziną. On sam wydał bojówce rozkaz „usunięcia“ staruszka ks. Pośpiecha, swego dobroczyńcę, szczerego patrjotę i zacnego kapłana. On własnoręcznie rozbijał batogiem powstańców, których dla słusznych czy niesłusznych powodów uważał za przestępców.

Ale ten sam człowiek zapijał się codziennie do utraty przytomności, gdy sytuacja wojskowa lub polityczna wkraczała w fazy kryzysu i gdy się wreszcie całkowicie komplikowała uciekał, dzień i noc pod gazem trzymanym, stukonnym automobilem.

*

Jako polityk Korfanty jest wyjątkowym przykładem nieudolnosci i krótkowzroczności. Często wysuwa się na jego obronę argument, iż bądź co bądź jest to człowiek zdolny. Niewątpliwie. Dodalibyśmy nawet—wybitnie zdolny. Lecz czymżeż jest zdolność sama przez się? Jest pojęciem niekonkretnem, nieuchwytnem. Bywają zdolni dyplomaci i włamywacze, ministrowie skarbu i kasiarze. Jedni i drudzy mogą być obdarzeni identycznym zasobem zdolności. Wszakże tylko zdolności podporządkowane światłemu umysłowi i wysokiej kulturze jednostki stają się wysokocennym i twórczym walorem.

Korfanty zaś cierpi na brak kultury umysłowej i umiejętności podporządkowania swych zdolności nakazom pożytku publicznego, jego zdolności służą nerwowej i ślepej ambicji, a ambicja kieszeni.

Polityk...? Przecież to Korfanty, już w czasie wojny, gdzie mógł potępiał marzenia o niepodległości Polski. Nazywał je szkodliwemi „mrzonkami", dziecinnemi igraszkami z nieprzezwyciężoną potęgą niemiecką, drwił i szydził. A gdy wbrew jego „trzeźwym" proroctwom Polska odzyskała niepodległość, Korfanty jej imieniem zrzekał się uroczyście Gdańska. On był wrogiem wszystkich po kolei powstań ludowych na G. Śląsku, chociaż one i tylko one zdecydowały o znośnym dla Polski rozstrzygnięciu losu tej dzielnicy przez ciała międzynarodowe. Zwalczając ideję pogotowia zbrojnego polskiego ludu śląskiego, Korfanty za pieniądze polskie budował olbrzymią partję niemiecką, tak zw. *Oberschlesischevolkspartei,* która swemi głosami na rzecz Polski miała rzekomo zdecydować wynik plebiscytu. W praktyce okazało się, że ani jeden członek tej stutysięcznej partji nie oddał głosu za Polską i wielkie, miljardowe udzielane jej hojnie subsydja przepadły bezpowrotnie — zdecydowały zaś polskie organizacje wojskowe. A ostatnie powstanie? Nikt inny, jak tylko on jest sprawcą olbrzymich ofiar poniesionych prze powstańcze szeregi w przewlekłych i morderczych walkach z regularną armją niemiecką Höffera. On bowiem własnym rozkazem zwichnął rozmach powstania, zatrzymując jego front na iluzorycznej linji politycznej, którą sobie był wymyślił, jako linję podziałową G. Śląska, znaną pod pod jego imieniem. Gdyby powstanie, jak zamierzało fachowe dowództwo, było objęło cały teren plebiscytowy, co mogło nastąpić omal bez wystrzału, nie byłoby przyszło do regularnej wojny z Höfferem, gdyż byłaby to wówczas wojna Rzeszy niemieckiej z państwami aljanckiemi, w których cywilnym i wojskowym zarządzie pozostawał G. Śląsk. To załamanie powstania i skrwawienie go tak tragiczne było zbrodnią ze stanowiska wojskowego, politycznego i narodowego. Tego faktu Korfanty, ani jego przyjaciele odeprzeć nie zdołają, chociażby zapisali kilometry papieru.

A cały przebieg powstania czyż nie jest jedną wielką zbrodnią już ze stanowiska czysto politycznego? Brak nam niestety miejsca na scharakteryzowanie gry dyplomatycznej Korfantego, który na konwencjonalne życzenia aljantów wycofywał powstańców z najważniejszych pod względem strategicznym pozycji, by następnego dnia kazać je zdobywać od niemców z niebywałemi ofiarami krwi i życia ludzkiego. Ta dyplomacja doprowadziła przecież do tragedji, której się Korfanty przeląkł i uciekł ze Śląska, aby się na nim pokazać oficjalnie dopiero u boku dowódcy wkraczających imieniem Rzeczypospolitej wojsk.

Gdy więc dzisiaj prawica społeczna i sejmowa wysuwa go na czoło życia politycznego, jako człowieka, który docisnąwszy krawat na szyi Witosa, ma pokazać światu, jak się państwem rządzić powinno, musimy uderzyć na alarm. Jest to bowiem szalona myśl wydania państwa w ręce człowieka nieokiełznanego, brutalnego, ciemnego, łączącego w sobie przyrodzone skłon-

ności do niekonstytucyjnych metod rządzenia, z wielką elestycznością wobec wymagań i apetytów czynników zagranicznych, człowiek patrzący ponadto na Polskę przez pryzmat osobistych interesów i swojej wyimaginowanej wielkości.

Takim jest ten człowiek! *w. s.*

Budżet zrównoważony.

Kwestja budżetu państwa, jako zagadnienia centralnego w każdym zespole metod naprawy pieniądza, pochłania w chwili obecnej uwagę myślącego społeczeństwa. Każde niemal dziecko potrafi wyrecytować jednym tchem, że dopóki budżet państwowy nie będzie doprowadzony do równowagi, to znaczy państwo nie będzie wydawało mniej niż osiąga wpływów, niedobór pokrywany będzie przez maszynę drukarską, a więc wartość pieniądza będzie bezustannie spadała.

Ta ostatnia konsekwencja mogłaby wprawdzie na pewien czas ulec zawieszeniu, gdyby niedobór pokrywała pożyczka zagraniczna, lecz w tę, poza niektóremi ministrami skarbu i ewentualnemi kandydatami na ten fotel, na szczęście nikt w Polsce nie wierzy.

Byłoby zgoła śmieszne domagać się od zimnych i trzeźwo rachujących bankierów zagranicznych pożyczania państwu, którego obywatele w bankach londyńskich, paryskich, brukselskich lub zurychskich posiadają depozyty w złocie, kilkakrotnie przerastające potrzeby sanacyjne skarbu polskiego. Gdy zaś właśni obywatele nie mają bynajmniej ochoty zaryzykować jednego dolara dla ratowania i uzdrowienia pieniądza swego państwa, trudno w tych warunkach bez narażenia się na kpiny, zachęcać do ryzyka finansistów angielskich lub amerykańskich. Pożyczają tylko bogatym — jak mówi dowcipne przysłowie francuskie. A w Polsce musimy zanotować i ten szczególny objaw choroby finansowej, że podczas gdy sfery obywateli posiadających bogacą się z dnia na dzień, państwo ubożeje. Logicznie więc rzeczy biorąc kapitał zagraniczny może mieć swój interes w poparciu bogacących się polskich przemysłowców, potentatów węglowych, naftowych czy leśnych, nie zaś ubożejącego skarbu państwa.

Gdy więc, dla tych lub innych względów, pokrycie deficytu przez pożyczkę zagraniczną musi być wykreślone z rachunku, jako wyjście konieczne pozostaje zrównoważenie budżetu własnemi siłami. Zagadnienie to ma tę smutną właściwość, że możność urzeczywistnienia go stoi w stosunku odwrotnym do łatwości sformułowania. Stąd też oszołomienie, w jakie wprawił rozsądnie myślących obywateli cudotwórca skarbowy p. Kucharski, zademonstrowaniem społeczeństwu, sposobem czarodziei, budżetu zrównoważonego, a nawet zamkniętego znaczną nadwyżką dochodów nad rozchodami, bez przedłożenia Sejmowi projektów nowych wydatnych podatków.

Jak się to stało? Dlaczego przed dwoma miesiącami ten sam minister biegał po kantorach bankierów europejskich z prośbą o pożyczkę, gdy okazało się, że bez niej spokojnie możemy wybrnąć z kłopotów i jeszcze coś odłożyć na czarną godzinę? Czemu wreszcie żaden z jego poprzedników nie wpadł na ten genjalny pomysł, że właściwie w przeciągu 48-miu godzin można skarb naprawić, gospodarstwo narodowe na zdrowym pieniądzu oprzeć, zamożność ubogich obywateli na wieki utrwalić?

W tym miejscu musimy nadużyć cierpliwości czytelnika i cofnąć się nieco pamięcią wstecz, by wskazać, że przed panem Kucharskim znalazł się już lekarz od chorych budżetów, który je radykalnie stawiał na nogi. Mamy tutaj na myśli zeszłoroczną wiosenną sesję Ligi Narodów w Genui, poświęconą głównie zagadnieniu ratowania finansów Rosji Sowieckiej. Otóż na komisji rzeczoznawców finansowych Ligi złożonej z przedstawicieli Mocarstw Sprzymierzonych i państw neutralnych, delegat sowietów Rakowski w dłuższem *exposé* z tupetem przedłożył wysokiemu zebraniu budżet państwowy Rosji, wbrew oczekiwaniom komisji radzącej nad sposobem ratowania jej finansów, całkowicie zrównoważony, a nawet z pewną nadwyżką dochodów nad wydatkami. Efekt tego wystąpienia Rakowskiego był piorunujący. Kilkudziesięciu najmędrszych fachowców skarbowych reprezentujących państwa znakomicie zagospodarowane, o świetnej walucie, wspaniale prosperującym przemyśle, wysokiej kulturze i wielkich tradycjach pracy zebrało się, by radzić nad rozwiązaniem jednego, zdawałoby się, z najzawilszych problemów światowych, a oto znalazł się pan, który nigdy z finansami, ani skarbowością nie miał nic wspólnego, zwykły sobie agitator partyjny i bez najmniejszych trudności i łamania głowy sprawę napoczekaniu załatwił.

Po oszałamiającem *exposé* Rakowskiego, ośmielił się wszakże zabrać głos delegat holenderski i z wielkim zawstydzeniem oświadczył, że oczywiście nie może on jak tylko z najwyższą radością przyjąć do wiadomości tak świetny stan finansów Rosii sowieckiej. Z prawdziwym zaś smutkiem musi stwierdzić znacznie gorsze pod tym względem położenie mocarstw zwycięzkich, jak chociażby Anglji i Francji, a nawet i neutralnych, między innemi Holandji, uchodzącej wprawdzie za kraj najlepiej zagospodarowany, który ponadto nie przeszedł wojny, a mimo to zamykającej swój budżet 3% deficytem, przewidywanym również na najbliższe lata. W tych warunkach Rosja sowiecka, wedle delegata holenderskiego, jest wyjątkiem w Europie, godnym najwyższego podziwu i zazdrości.

Nie trzeba dodawać, że ta zręczna i cięta odprawa udzielona Rakowskiemu, wywołała wybuchy, zabójczej dla sowieckiego posła, wesołości, wśród której międzynarodowi rzeczoznawcy opuści salę obrad.

Sejm Rzeczypospolitej okazał się wprawdzie audytorjum znacznie cierpliwszym, a może pobłażliwszym dla naśladowcy p. Rakowskiego, nie mniej faktem jest, że miara, powiedzmy łagodnie—lekkomyślności wystąpień jednego i drugiego cudotwórców skarbowych jest identyczna.

Teorja Rakowskiego wyrównywania budżetów przejęta przez p. Kucharskiego, na język codzienny dałaby się przełożyć w ten mniej więcej sposób. Obywatel urzędnik X zarabia 20 miljonów marek. Wydatki jego miesięcznie wynoszą zaś 35 miljonów. Ponieważ sam nie potrafi sobie poradzić z kłopotem uregulowania swych zobowiązań, a pożyczki od nikogo uzyskać nie może, przeto udaje się do znachora ze szkoły Rakowskiego i prosi: poradź pan. P. Kucharski powiada na to: przyjacielu, pokaż mi swój budżet. Acha, pięknie. Po co masz kształcić dzieci? to trzeba skasować—już będziesz wydawał mniej. Dalej skreślimy wydatki na ubranie; kto nie ma za co się odziać, niechaj chodzi nago. To trudno. A teraz jeśli jeszcze skreślisz wydatki na jedzenie, możesz do śmierci żyć bez deficytu, a nawet co miesięc oszczędzisz 2 miljony.

Wedle naszego rozumienia sprawy, mądry przyjaciel poradziłby nieszczęśnemu obywatelowi w nieco odmienny sposób. Zacząłby również od zalecenia oszczędności, główny jednak nacisk położyłby na podniesienie dochodów. Pracuj sam więcej, naucz swe dzieci pomagać ojcu, ale na Boga, nie pozbawiaj ich nauki, nie dopuść, by miały pomnażać balast ciemnoty; dbaj wreszcie o zdrowie swego organizmu i gromadź w nim środki obrony przeciwko chorobom grożącym ci na każdym kroku, albowiem od tego zależy twoja egzystencja.

To też wolno mieć nadzieję, że Sejm w toku dyskusji nad przedłożonym mu budżetem znajdzie mocne słowa potępienia lekkomyślności i smiesznej demagogji z jaką został sporządzony. Trzeba bowiem jaknajenergiczniej zwalczać fałszywe metody usypiania czujności społeczeństwa w sprawach, w których tylko przez codzienne szczere uświadamianie mu ciężkiej rzeczywistości, można pobudzić zdolność ponoszenia daleko idących ofiar, jako jedynego źródła i drogi naprawy.

Generał Joseph Czikiel.

Burzliwe życie polskie co chwila wyrzuca na „pokład" Rzeczpospolitej jakąś rozkładającą się mumję z odziedziczonych po zaborcach archiwów. Z wierzchu egzemplarz taki wymalowany jest na podobieństwo ludzkie, zdaleka wydaje się nawet wcale gładki, lecz zblizka... uchowaj Boże co za cuchnąca bryła gnoju.

Wypadki ostatnich dni zaktualizowały w niebywale tragicznych okolicznościach mumję najpodlejszego — austryjackiego pochodzenia — generała Josepha Czikiela. Skąd taki Czikiel doszedł

do godności generalskiej i dlaczego zakwalifikowano go nie do rezerwy, a koniecznie na stanowisko dowódcy korpusu? Dlaczego nie na komendanta aresztu, piekarni, szewckich warsztatów, lub szpitala koni?

Cóż to za bohater, cóż za wódz, wychowawca, organizator, patrjota? Gdzie się kształcił, jakich dokonywał czynów wiekopomnych, od ilu lat przestał się w służbie posługiwać językiem niemieckim, bo poza służbą ponoć wogóle nie przestawał?

Kancelaryjny szczur, który poza „amceniem kawałków" i wiernością dla Austrji o niczem nigdy nie słyszał. Z miłości dla Polski zapomniał polskiego języka i do dnia dzisiejszego się go nie nauczył. Tuman wysokiej rangi, genjusz w siedzeniu przez kilkadziesiąt lat na wygniecionym stołku, za zdarcie kilkudziesięciu par spodni i wysuszenie mlecza pacierzowego na chwałę obszerniejszej ojczyzny i cesarza—pułkownikowskich austryjackich szlif się dochrapał i tyle właśnie zasłużył się Polsce.

W czasie wojny wysłały trepy obersta Josepha Czikiela na front, pod Tarnopol do 2 armji Boehm-Ermollego. Obejrzeli go tam ze wszystkich stron i dali oberstowi pułk. Niech dowodzi. Z trepami i tak krucho było, ale jak oberst Czikiel zaczął dowodzić, nie tylko Kraków, ale i Wiedeń w dwa tygodnie byliby moskale zajęli. Wygnali więc Czikiela na „hinterland"... do kancelarji.

W 1920 roku oberst przystał do polaków. Łazików z całego świata przygarniali, wzięli i jego na pensję. Dali mu 8-mą dywizję, niech dowodzi. W Sztabie Generalnym możnaby się coś niecoś dewiedzieć jak Czikiel dowodził. Przy takich dowódcach byliby nas djabli wzięli bez długich męczarni. Przegonili więc bohatera na tyły, gdzie doczekał się od swoich k. u k. przyjaciół promocji na generała. A z generałem sprawa poważna—został więc dowódcą okręgu korpusu. I tak dobrze, że nie Naczelnym Wodzem, bo go już raz przecież na szefa Sztabu Generalnego różni kuzynkowie protegowali... o mało co „Kościuszką" nie został, bo chęć miał...

Dzisiaj dopiero, gdy wywołał bolesny przelew krwi polskiej na ulicach Krakowa, „kuzynkowie" musieli się zgodzić na wylanie go i przypuszczać należy, oddanie pod sąd.

Można być pewnym, że pod dowództwem takich generałów precedens krakowski powtarzać się będzie raz za razem, aż do zupełnego zniszczenia armji. A jest ich jeszcze niemało.

Wychowanie oficera według k. u. k. Teodorskiej szkoły.

Przed paru miesiącami nasze szkolnictwo wojskowe obchodziło doniosłą uroczystość — ukończenia pierwszego dwuletniego kursu w szkole sztabu generalnego. Armji polskiej przybyło kilkudziesięciu oficerów z pol-

skim akademickim wykształceniem wojskowym. Wielki, piękny dokument naszych zdolności organizacyjnych, rozumnego dążenia wodzów naszej armji do krystalizowania typu oświeconego polskiego oficera

Uroczystość tę uczciły więc należycie władze wojskowe, a głęboko odczuł i uwiecznił dowódca akademji, sympatyczny k. u. k. przyjaciel p. ministra Szeptyckiego, gen. Serda-Teodorski, rozdając swym wychowankom, oficerom sztabu generalnego, epokowy elaborat zatytułowany szumnie: „Jak się powinien zachowywać oficer polski poza służbą".

Na 23-ech stronach bitego maszynowego pisma znajdujemy tam kopalnię cennych i niezmiernie charakterystycznych dla typu generałów Trajdadalskich wskazówek życiowych, jak zaznaczono w tytule, specjalnie dla oficera przeznaczonych, chcąc jak gdyby przez to podkreślić, że zwyczaje towarzyskie społeczeństwa cywilnego, bynajmniej nie obowiązują obywatela w mundurze, lub może nie odpowiadają jego potrzebom i wymaganiom.

A więc najpierw wskazówki ogólne. „Oficer powinien *wonieć* (*!*) *czystością* i zdrowiem ciała, a więc w teraźniejszych czasach sportów używanie perfum, prócz wody kolońskiej jest niewłaściwe. Powinien przyzwyczaić się do codziennego golenia brody nie mówiąc już o *starannem utrzymywaniu zębów w czystości*. Gładko ogolona twarz jest oznaką kultury (sic!) (patrz na Anglików), również... czystość paznokci..." A nosa — nie? Przecież palcem w nosie, widelcem w zębach i gwoździem u uchu dłubać nie wolno, a o tem nic, ani słowa...? tylko, że „gładko ogolona twarz, jest oznaką kultury (patrz na Anglików)". A król angielski to nie anglik?, a prezydent Wojciechowski to niekulturalny człowiek, bo obydwaj ci dostojnicy golą brody nie gładko, a trochę w szpic i amen... chociaż tego w przepisach p. Trajdadalskieco niema... co?

Ale idziemy dalej. „Dumnym powinien oficer iż wolno mu nosić szablę... Karabelę nosił nietylko *bene natus et possesionatus*, lecz i szewc Kiliński. Obecnie zniewieściali potomkowie rycerzy" (a szewca Kilińskiego nie?) nie chcą nosić szabli „pozbawiając się dodatnich cech, które nam przekazała tradycja". Można i tak. Jak kto lubi. Szabla uchodziła dotychczas za część uzbrojenia i dlatego, chociaż Bartosz Głowacki jej nie nosił, dzisiaj wszyscy jego potomkowie ułani śmigają szablą aż miło. A tu naraz okazuje się, że szabla to „dodatnia cecha". Zameldował się jakiś młody oficerzysko z wizytą u najmilszej, odpasał szablisko w przedpokoju i sunie do salonu, a tu okazuje się, że brakuje mu „dodatniej cechy", i z ożenku kwita. Wracaj bracie po „cechę" bo bez tego ani rusz... w małżeństwie nie zblagujesz, „cecha" grunt, — niema co.

„W stosunku z kolegami powinien oficer odznaczać się uprzejmością, unikać nieprzyzwoitych żartów, *naciągania*, sprzeczki... i wyrazów karczemnych". „Z kolegami", ...tylko „z kolegami"... bo cywila to bracie wojaku z góry, prosto z mostu... rznij w pysk, naciągnij i jeszcze na pożegnanie wo wsiu, po matuszkie... nie żałuj. Taki jego cywilny obowiązek i basta. „Z kolegami" ...ach mein Gott... das ist eine andere Sache... tu już kurtuazja i „odszczególnienia" (nowość językowa!) niebywałe. Np. „Każde zetknięcie się poza służbowe oficerów, którzy się osobiście nie znają, wymaga przedstawienia się". Co? Spotkają się dwaj cywile, jeden podedrze nożkę, później drugi, obwąchają się i znajomość gotowa. A w wojsku bracie niema tak dobrze, musisz się przedstawić, nie mówiąc już co cię czeka w kasynie.

„Pod żadnym warunkiem nie wolno się tak zachowywać (w kasynie) jak gdyby się było u siebie w domu.. Kasyno powinno nosić cechy klubu ludzi kulturalnych i dobrze wychowanych". Znakomicie. W domu zachowuj się obywatelu jak wieprz, to głupstwo. Kulturalnym być nie potrzebujesz, tylko „cechy"... Z temi „cechami" zaczyna być strasznie ciasno. Ale dalej: „Osobnik, nieumiejący jeść bez zaplamienia surduta, zdejmuje go pozostając w kamizelce i świecąc brudną, a zapoconą koszulą. Nachyla się nad stołem, opiera przedramiona o stół, odpina kołnierz, napycha jadło do gęby widelcem i nożem trzymanym w całej garści. Oficer, który

sobie tych *wygód* w codziennym życiu nie pozwala... będzie się czuł dobrze w najwytworniejszym towarzystwie...". O człecze przewrotny i fałszywy. O Trajdadalski generalski. Toś się dopiero złapał na haczyk własnej wędki. Tuś wyśpiewał łabędzią pieśń „cechowy" kulturtregerze k. u. k. apostolskiej gwiazdy zatraconej. Należy do „wygód w codziennym życiu"... „świecić brudną, a zapoconą koszula... odpinać kołnierz i napychać jadło do gęby widelcem i nożem trzymanym w pełnej garści", a może poprostu garścią. To są wygody. Ale gdy ktoś na „brudną, a zapoconą koszulą" włoży mundur to już „wonieje czystością... sportową" czystością. Ładna nauka dla oficerów. Dobry pedagog. Świetny generał... dowódca wojskowej akademji, luminarz, wzór... do bzdur...

A teraz rozdział o kobietach. Słuchajcie! „W życiu towarzyskiem nie powinien oficer unikać obcowania z kobietami..." jednakże „zachowanie się w miejscu publicznem, wskazujące na poufały stosunek z kobietą, choćby to miała być własna żona, jest dowodem braku taktu". Na to zgoda Lecz dalej: „Zdradzanie uczuć (oczywiście dla kobiety, „chociażby to miała być własna żona") wobec publiczności, a więc wobec grona obojętnych ludzi, jest rzucaniem pereł ......

Jeżeli więc komukolwiek zdarzyłoby się w życiu znaleść się z żoną w towarzystwie generała autora tej znakomitej teorji, niechajże unika uronienia „pereł..." (między świnie). Ale niech już tak będzie, jeśli w ten sposób oficer ma akcentować szacunek dla kobiety. Czy tylko aby zawsze? Otóż pod tym względem istnieją wyjątki, albowiem, „równouprawnienie, którego kobiety poniekąd dopięły, zwalnia mężczyzn a więc i oficerów ze zbytniego wyróżniania tychże w stosunku służbowym. Dlatego uprzejmość dla funkcjonarjuszek, będących w służbie, jest nie na miejscu".

O co więc chodzi: o grzeczność, czy o chamstwo? W salonie uprzejmie, a biurze po chamsku, zgóry... I to ma być zapewnie również „cecha dodatnia" w pojęciu pana Trajdadalskiego... po austrjacku w wiedeńskim sosie.

A teraz różne drobne nauki życiowe.

Oficer składający wizyty „objeżdża mieszkania będących na liście wizyt, lub używa kaloszy, które wraz z płaszczem pozostają w przedpokoju (u drzwi wchodowych...)" A od czego jest fortepian?.. „Zjawienia się gospodarza oczekuje się stojąc w pokoju. Bardzo niestosownem byłoby dotykanie się przedmiotów lub przeglądanie papierów leżących na stole lub biurku"... Przepisy nie wyjaśniają wszakże czy wolno otwierać wytrychem szuflady biurka i wycierać nos w firanki. Dowiadujemy się natomiast iż „Temat rozmowy należy dostosować do poziomu inteligencji pani domu" chociaż „ordynarnych wyrazów, dwuznacznych żartów ...starannie unikać należy"... Chyba żeby się coś wymknęło... no, to trudno.

Wreszcie cała ta olbrzymia kopalnia genjalnych pouczeń dydaktyczno-obyczajowych kończy się konkluzją, „że oficer, który osiągnął pełnię wyrobienia wojskowego, śmiało może występować w każdem towarzystwie". Jeśli więc Bóg dopuścił, że jakiś Walenty Śledziona, organista-kalikator z Rudego Błota został za zasługi bojowe oficerem, a przytem skończył szkołę karabinów maszynowych, może się uważać za skończonego gentlemana i nijakiej nauki więcej nie potrzebujący jest. Schlus. Fertig. Amen. Na wieki.

Eleborat p. Serdy-Teodorskiego obfituje jeszcze w cały legjon rewelacyjnych epizodów. Stanowi on dokument niebywałego ubóstwa myśli i pomięszania pojęć. Możnaby go porównać jedynie ze sławnemi przepisami towarzyskiemi wydanemi przez Katarzynę dla rosyjskiego dworu, gdzie jednym z najcharakterystyczniejszych fragmentów, jest zakaz bicia kobiet podczas uroczystości dworskich na których uczestniczy car lub carowa. Jest to dokument śmieszny, ale tylko do pewnych granic. Należy bowiem zważyć, że jest on produktem mózgu jednego z generałów, któremu na wypadek wojny może być powierzone poważne i odpowiedzialne stanowisko, a z drugiej strony, może on (elaborat) dostać się do rąk jakiegoś

przedstawiciela obcego państwa, lub chociażby narodu. Jakąż na jego podstawie należy sobie wyrobić opinję o poziomie intellektualnym polskiego korpusu oficerskiego, jeśli dla wybranych z pośród niego przedstawicieli sztabu generalnego trzeba pisać tak poniżające instrukcje? *w. s.*

Potrafią milczeć.

W numerze 3-cim i 5-tym Głosu Prawdy poruszyliśmy niezmiernie ważną sprawę rezultatów błędu w ustawie o podatku dochodowym. Wykazaliśmy mianowicie, że dzięki nieprzystosowaniu tej ustawy do potrzeb chwili bieżącej, podatnicy, obowiązani do składania zeznań o całorocznym czystym dochodzie, mają możność oszukiwać Skarb i, zasłaniając się literą prawa, wykazują zaledwie $^1/_8$ swoich dochodów. W numerze 5-tym Głosu Prawdy przytoczyliśmy przykład, który wyjaśnia, że suma czystego dochodu, obliczona na zasadzie zdrowej logiki, a nie chorej ustawy, w rzeczywistości jest ośm razy większa, od wykazywanej przez podatnika. Omawiane artykuły zakończyliśmy pytaniem skierowanem do sfer, w tej mierze, miarodajnych — czy potrafią uważać tę sprawę za nieznaczącą i czy potrafią przejść nad nią do porządku dziennego.

Okazało się, że — owszem — potrafią.

Nasze sfery miarodajne o wielu sprawach potrafią milczeć, zwłaszcza, gdy chodzi o przejście od deklamacji naprawie skarbu poświęconych do rzetelnych czynów, a w pierwszym rzędzie uczciwego ściągania podatków bezpośrednich od możnych tego świata.

Niżej podpisany w rozmowie z pewną wpływową osobistością, stojącą blisko spraw skarbowych, miał nieprzyjemność usłyszeć następujące zdanie: „Niepotrzebnie się pan tą sprawą tak przejmuje, bo przecież nowouchwalona ustawa o waloryzacji podatków całkowicie tę bolączkę usunie". Budująca inteligencja! — Otóż bolączki tej nie usunie waloryzacja podatków, — wysoka sfero miarodajna,—gdyż zabezpieczenie wartości podatku od daty jego wymierzenia do daty ściągnięcia, a prawidłowe wymierzenie podatku, to dwie różne sprawy.

Raz tedy jeszcze stwierdzamy: należy poprawić ustawę o podatku dochodowym w taki sposób, aby ona zmuszała podatników wykazywać swoje dochody według ich *wartości rzeczywistej z końca roku*, a nie według prostego dodawania sum składających się z różnowartościowych marek.

Wiktor Ostoja.

Powiadają...

Powiadają, że pewnego razu, podczas ostatniego Zgromadzenia Lig-Narodów, delegat francuski prof. Hanotaux rozmawiając z delegatami polskii mi oświadczył:

„Ach jaka to szkoda, że pomiędzy panami niema profesora Askenanasego. Jest to człowiek wielkiej wartości, ogromnie ceniony i poważany w Lidze“.

Pan Skirmunt poczerwieniał z oburzenia, jednakże jak zawsze, ze słodko-kwaśnym uśmiechem przytaknął profesorowi Hanotaeux.

* * *

Powiadają, że „usprawnianie“ gabinetu p. Witosa odbywało się w największej tajemnicy nawet przed... większością rządową. Niektórzy leaderzy stronnictw rządowych zostali o niem zawiadomieni dopiero po fakcie dokonanym.

Jak widzimy konspiracja kwitnie w obecnym rządzie już nietylko przeciwko własnemu narodowi, ale przeciwko własnym stronnictwom!

Ofiarni.

W dalszym ciągu dla rodziny po ś. p. por. Szymańskim złożyli w naszej redakcji: p. Antoni Kozieł z Radoszesic — 60,000 mk., por. Lipski — 100,000 mk. p. Czesław Jankowski z Białegostoku — 200,000 mk., p. Zygmunt Nagrodzki z Wilna — 200,000 mk., p. D. W. E. — 300,000 mk., p. W. Szymański z Huty — 100,000 mk., p. Włodzimierz John z Pabjanic — 100,000 mk. i pp. Kazimierzowie Waroczewscy dla uczczenia ś. p. córki Stanisławy — 300,000 mk. Łącznie 1.360.000 mk.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **80.000** mk., kwartalnie **240.000** mk. Zagranicą kwartalnie **360.000** mk. Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności № 3298.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakłady Drukarskie „Prasa“, Tamka 46.